

STARCRRAFT

# WE KRWI

Matt Burns



BILZARD  
ENTERTAINMENT

BIP.

BIP.

BIIIIIP.

Szczur portowy obudził się, jak zwykle, zlany zimnym potem. Przekąźnik, który wszczepiono mu w nadgarstek, co pięć sekund wydawał przenikliwe dźwięki. Wzywał go jego szef – Iwan. Dostarczono nowy towar.

Instynkt przejął kontrolę nad ciałem. Nadnercza zaczęły pompować do krwi adrenalinę, naturalną odmianę stymulantów. Płuca napełniły się tlenem. Serce zaczęło pracować na pełnych obrotach. Bogate w tlen krwinki przeniknęły do tkanki mięśniowej i rozpoczęły rytuał przebudzenia.

Szczur portowy wygramolił się z zalatującego stęchlizną fotela pilota, który służył mu za wyrko, i wcisnął się w brudny kombinezon, wzmocniony cienką jak włos siatką z neostali – skutecznie chroniącą przed atakami z użyciem noża. W górze migotały stłumione światła, rozświetlające rozpadający się kokpit ścigacza międzyplanetarnego – jego domu. Przeszukał rozrzucone po podłodze fragmenty podzespołów, rozglądając się za zapasowymi racjami żywnościowymi. Bez powodzenia.

Czuł przemożną chęć wyjścia na zewnątrz i odpowiedzenia na wezwanie Iwana, ale rytuał jeszcze nie dobiegł końca. Niespiesznie podszedł do przeżartego rdzą panelu kontrolnego ścigacza i sięgnął do otwartej przegrody. Jego dłoń wyłoniła się z mroku trzymając złote skrzydła pilota, przymocowane do kawałka gumowej linki. Szczur zarzucił je sobie na szyję. Twarda, wykonana z chłodnego metalu odznaka opadła mu na pierś. Poczuł się pewniej.

Powoli wypowiedział swoje imię: „Vik”. Czasami, kiedy dni zlewały się w długi ciąg bliskich spotkań ze śmiercią, łatwo było je zapomnieć. „Nie jestem taki jak *oni*... Jestem Vik”.

Szczur portowy o imieniu Vik opuścił ścigacz szybkim krokiem, ryglując drzwi przy pomocy systemu zamków magnetycznych. Przystanął na chwilę, aby jego organizm mógł przyzwyczać się do otoczenia i przyjąć do wiadomości, że rozpoczął się nowy dzień. Niebo było spowite szarą chmurą pełnego wyziewów smogu, która rozciągała się wokół, jak daleko sięgał wzrok. Stłumione promienie słoneczne przekradały się pomiędzy powyginanymi kadłubami statków, stalowymi belkami i wieloma innymi porzuconymi odpadami, które nadawały kształt głównym arteriom komunikacyjnym Portu Umarlaka. *Nie ma to jak w domu.*

Miasto-złomowisko tętniło aktywnością, wydając przy tym dźwięki przypominające bzyczenie owadów, co sprawiało wrażenie, że pomimo panującego wokół rozkładu mogło w nim jeszcze narodzić się życie. Gdzieś w gąszczu ulic metropolii przemysłowcy ładowali na statki skrzynie, oficjalnie zawierające setki kilogramów rozpuszczalników przemysłowych, w rzeczywistości zaś wypełnione narkotykami przeznaczonymi dla dzieci bogaczy na Turaxis II. Gdzieś indziej uchodźcy, przekonani, że kupili bilet do wolności, opuszczali pokłady transportowców i byli witani z otwartymi ramionami przez handlarzy niewolników.

Krótko mówiąc, zwyczajny dzień w porcie.

Pozostałe szczury portowe były zaabsorbowane swoimi codziennymi sprawami – rozprowadzaniem towaru dla lokalnych watażków, wykonywaniem dziwnych zleceń dla szulerni i burdeli, czy też wykradaniem dostaw z portu gwiazdnego. Brudna skóra i zaniedbane ubrania zapewniały im naturalny kamuflaż w zdominowanym przez metaliczną szarość otoczeniu. Ludzie mieli na osobników pokroju Vika wiele określeń: „uliczne oprychy”, „pasożyty”, „pijawki”. Nie twierdził, że nie mają racji. Porzuceni i niechciani w mieście, które było skazą na obliczu ludzkości, musieli upodobnić się do zwierząt, aby przetrwać.

*Jestem Vik. Nie jestem taki jak oni...*

Przemieszczał się zakurzonymi ulicami, idąc pewnym krokiem i nie poświęcając zbyt wiele uwagi temu, co działo się wokół. Od czasu do czasu zerkał jednak ukradkiem na przechodniów, wypatrując delikatnych rumieńców, jakie pojawiają się na skórze tuż przed mającym nastąpić atakiem. Przeszedł nad ciałem rojącym się od wyliniałych, szczuropodobnych nerratów o czerwonych ślepiach. Na pierwszy rzut oka trup musiał tam leżeć od kilku dni. W bocznych zaułkach nigdy nikogo nie grzebano.

Wkrótce w zasięgu wzroku pojawił się warsztat paserski Iwana – odnowiona, górująca nad okolicą rafineria wspanu, na obrzeżach Portu Umarlaka. Szczur portowy przyspieszył kroku. Był zadowolony, że udało mu się pokonać bez szwanku najniebezpieczniejszą część miasta. Nagle ktoś wychynął zza rogu i chwycił go za kołnierz.

Vik zacisnął pięści i był gotów się bronić, ale w porę dostrzegł napastnika. Był nim inny szczur portowy. Tak jak wszyscy jego pokroju, nosił postrzępione ubranie, a jego ogoloną głowę znaczyły świeże ukąszenia owadów. Wyglądał niebezpiecznie. Był jedynym przyjacielem Vika.

– Znow się spóźniłeś. Ja zresztą też, cholera – powiedział Serj, rozluźniając uścisk.

– Wal się – Vik spojrzał na stojącego obok szczura, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Serj był wielki. Mógłby być zabijaką na usługach jakiegoś bossa świata przestępczego, ale nie brakowało mu oleju w głowie, co w tych stronach zdarzało się rzadko. Poznali się na ulicach miasta i postanowili połączyć swoją smykałkę do majsterkowania, napraw i sprzedawania towarów, aby zebrać wystarczająco dużo kredytów na bilety potrzebne do opuszczenia portu. Zawarli umowę, że opuszczą to miejsce na własnych warunkach – nie chcieli upodobnić się do zwierząt na dwóch nogach, jak reszta szczurów portowych. Potem Iwan poznał się na ich umiejętnościach i „zatrudnił”, wszczepiając im przekaźniki w nadgarstki. Warunki zatrudnienia nie podlegały negocjacjom. Vik i Serj co jakiś czas myśleli o ucieczce, ale bez pieniędzy nie mieli co marzyć o podróży gdziekolwiek.

– Pokaż no – Serj wskazał palcem pierś Vika.

– Chcesz ją na dziś? – zapytał drugi szczur portowy, zdejmując z szyi odznakę pilota. Serj znalazł ją kiedyś przy jakimś trupie w bocznych uliczkach. Ostatnimi laty tylko ta rzecz pozwalała im z nadzieją myśleć o przyszłości. A jednak optymizm Vika z czasem zmaliał. Gdy tylko zaczęli odkładać pokaźną sumę kredytów, albo okradał ich gang osobników ich pokroju, albo kończyła im się żywność i musieli wydać oszczędności, aby zrobić zapasy. Zawsze coś krzyżowało im plany. Życie w porcie sprawiało, że z czasem

każdy stawał się wrakiem tego, kim był kiedyś. Wysysało z ludzi ostatki sił. Sprawiało, że nawet sny wiały nudą.

– Nie, zatrzymaj ją. Wypowiedziałeś słowa dziś rano?

– Sie rozumie. A ty?

– To ja cię ich nauczyłem, sieroto – Serj szturchnął Vika w ramię. – Skoro już o tym mowa, to z daleka słyszałem, jak ci burczy w brzuchu – duży szczur portowy rzucił przyjacielowi zapasową paczkę racji żywnościowych.

Vik wzruszył ramionami, lekko zakłopotany, po czym kiwnął głową w podzięcie. – To nie jest twoja ostatnia, prawda? – zapytał.

– Wcinaj – odpowiedział lakonicznie Serj. Vik wiedział, że nie warto się z nim kłócić. To nigdy nie skutkowało.

W miarę jak łapczywie pochłaniał galaretowatą mieszankę składników odżywczych, zauważył podkrążone oczy przyjaciela. Każdego dnia Serj wyglądał na coraz bardziej wyczerpanego. Vik zastanawiał się, w jakim stopniu wynikało to z troski o niego. On sam nigdy nie miał rodziny – żaden szczur portowy jej nie miał – ale gdyby pojęcie „starszego brata” tutaj istniało, z pewnością pasowałoby do Serja.

– Cho no – Serj skierował się do otwartych żaroodpornych wrót magazynu. – Przyszło coś dużego – dodał.

W głowie Vika zaroilo się od domysłów na temat technologii, przy jakiej będzie mógł dziś pomajstrować. Zespół Iwana doprowadził do perfekcji sztukę wyspecjalizowanego piractwa, porywając samotne transporty towarów nadających się na kontrabandę. Zazwyczaj chłopaki Iwana zapełniali magazyn medykamentami lub żywnością, ale co jakiś czas pojawiała się w nim rzadka technologia, którą Vik rozmontowywał na części, a następnie składał ponownie, zanim szef sprzedał ją temu, kto dał najwięcej. Tak było w dobrych czasach.

– No dobra? Co to jest? – nalegał Vik.

Serj odwrócił się na pięcie. W jego oczach można było dostrzec coś niezwykłego... wstręt... niepokój... strach.

Instykt Vika zareagował zdecydowanie. *Uciekaj.*

– Zergi.

\*\*\*\*

Vik słyszał o zergach. Każdy o nich słyszał. Kilka lat temu pojawiły się w przestrzeni kosmicznej terran i, siejąc spustoszenie, zniszczyły liczne światy oraz wymordowały miliony kolonistów. Nawet Konfederacja

terrán – swego czasu największe państwo w sektorze Koprulu – rozpadło się w pył i zniknęło w wyniku inwazji obcych. Zergi były ucieleśnieniem najgorszych koszmarów. Były arcywrogami wszystkich terrán.

Vik jednak sądził, że są większe.

Na podłodze magazynu leżały trzy stworzenia, sięgające mu do pasa. Ich podzielone na pierścienie ciała były pokryte grubym, najeżonym kolcami pancerzem, z którego wystawały rzędy maleńkich odnóży. Głowa obcego zakończona była uzębionymi żuwaczkami, nad którymi znajdowało się kilka pustych, niemalże pozbawionych życia mozaikowych oczu.

Obok stworzeń leżało podziurawione kulami pudło z neostali – trzy metry długości na dwa szerokości. Z osadzonego na jego brzegach lodu Vik wywnioskował, że to jakiś rodzaj chłodni lub pojemnika kriogenicznego.

– Nie wyglądają groźnie – Hutchins, jeden z najemników Iwana, podniósł zerga w powietrze. Sądząc po jego wykrzywionych świecących tatuażach i napiętych mięśniach, kosztowało go to wiele wysiłku. Pozostali najemnicy stali wokół obcych, tworząc krąg najeżony ładownicami, nożami, cybernetycznymi kończynami i powyginanymi pancerzami.

Przechodząc obok spiętrzonych skrzyń dostawczych, szczury portowe podeszły do grupy, aby mieć lepszy widok. Rozległa przestrzeń głównej hali magazynu rozświetlona była przez drażniące oczy reflektory, a w powietrzu czuć było stęchlizną. Stare silniki zwisały ze spowitych w mroku przęseł dachu, kołyszając się na zardzewiałych łańcuchach. W ciągu dziesięciu lat, jakie spędził na usługach Iwana, Vik wymienił większość wyposażenia magazynu i wprowadził w nim wiele ulepszeń. To był jego drugi dom – więzienie, jakie sam zaprojektował.

– To coś należy do Iwana. Rzuć to – chrapliwy głos Jace'a przypominał odgłosy silnika, który rzeźił ostatkiem sił. Wzrostem najemnik górował nad pozostałymi, a przez całą jego twarz – od ucha do ucha – biegła stara, pofałdowana blizna, którą uparcie drapał.

– Szef nie znajdzie na nie kupca – Hutchins pomachał zergiem w powietrzu. Vik tylko czekał, aż obcy wyrwie się do tyłu i go przepołowi. Jednak nic takiego nie nastąpiło – stwór bezradnie zwiślał mu z rąk. Co za rozczarowanie. – Nie handlujemy takim żywym towarem. Ten tutaj nadaje się tylko na karmę dla psów. Równie dobrze moglibyśmy się z nimi zabawić – dodał najemnik.

– Miałeś już dość zabawy – Jace uderzył butem w część pojemnika podziurawioną przez kule.

– Daj spokój – prychnął Hutchins. – Przemysłnik zaczął do nas strzelać, więc odpowiedzieliśmy ogniem. To nie moja wina, że używał ładunku jako osłony.

– Chcę tylko powiedzieć, że podpadłeś Iwanowi – Jace wzruszył ramionami.

Najemnik puścił zerga, a Vik wzdrygnął się, gdy kiedy stworzenie uderzyło w metalową posadzkę magazynu. Hutchins był członkiem ekipy od niedawna i już wcześniej narobił sobie problemów, ale tym razem sytuacja wyglądała inaczej. Nigdy nie należy okazywać lekceważenia wobec własności szefa. *Nigdy, przenigdy.*

Iwana jednak nie było w pobliżu. Prawdopodobnie zaszył się w biurze, skąd nawiązywał kontakty i węszył za potencjalnymi kupcami. Pomimo tego, już sam widok nieposłuszeństwa Hutchinsa sprawiał, że Vik poczuł się nieswojo.

– Pora na nas – szepnął w kierunku Serja. Przyjaciel nie odpowiedział – tak jak najemnicy, wpatrywał się w obcych.

Vik przestąpił z nogi na nogę i rozejrzał się po pomieszczeniu. Coś poruszyło się w mroku przejścia prowadzącego do głównej hali magazynu. *Iwan ich obserwował*. Przy nim kręciło się duże stworzenie na czterech łapach.

– Co powiecie na mały dżentelmeński zakład? – Hutchins wyciągnął pistolet zza pasa i wycelował w jednego z zergów. – Myślę, że mój P220 przebiję ich pancerz na wylot. Ile dajecie?

Nikt nie zdążył odpowiedzieć. Tylko Vik zobaczył, jak Iwan wykonał szybki, rozkazujący gest ręką, wskazując w ciszy na najemnika. Zwierzę u jego boku zawarczało, po czym weszło w krąg światła – był to jeden z psów łupkowych szefa. Cętkowany czworonóg wyskoczył w powietrze i powalił Hutchinsa na ziemię.

– Zabierzcie go! – krzyknął najemnik w momencie, gdy szczęki ogara zacisnęły się na jego ramieniu. Mężczyzna uderzył pięścią w skórę psa, złożoną z bogatych w żelazo płytek włóknistych, co tylko jeszcze bardziej rozjuszyło zwierzę.

Iwan, ubrany w charakterystyczny czarny płaszcz, spokojnie podszedł do zgromadzonych. Przy ciężko uzbrojonych najemnikach wyglądał niegroźnie, gdyby nie jego oczy – czujne, chłodne, w kolorze lodu. Szef stanął nad szarpiącym się z psem Hutchinsem.

– Nic nie zrobiłem! – krzyknął najemnik.

– Nie chodzi o to, co zrobiłeś, ale co zamierzałeś zrobić. To, że chory na wściekłość pies nie gryzie wcale nie oznacza, że jest zdrowy. Prędeż czy później nadejdzie moment, w którym zaatakuję.

– Rozumiem, szefie! Rozumiem! Zabierz go!

Iwan pstryknął palcami i pies puścił ofiarę.

– Cholera jasna, szefie! – Hutchins wstał, przyglądając się krwawiącemu ugryzieniu na ramieniu.

– Powinieneś mi dziękować, Hutch – Iwan podniósł P220 najemnika z podłogi. – Uratowałem cię przed nie lada kompromitacją z tym zakładem.

– Jak to?

– Akurat te zergi to twarde małe dranie. Nazywają je larwami. Podczas wojny, nawet marines wyposażeni w karabiny Gaussa musieli się nieźle namęczyć, żeby je zabić. A ty mi tu wyskakujesz z P220? – Iwan spojrzął na broń z pogardą. – Daj spokój...

Szef Vika powoli zbliżył pistolet do jednego z zergów. – Kula zrykoszetowałaby, nie pozostawiając nawet śladu na pancerzu, a potem... – powiedział, najpierw dotykając bronią obcego, a następnie kierując ją w kierunku Hutchinsa. Przyłożył lufę P220 do piersi najemnika. – Trafiałby tutaj.

Hutchins nie powiedział ani słowa. Szef lubił trzymać ludzi na krótkiej smyczy. Bawić się nimi. Vik nigdy nie wiedział, kiedy mówi poważnie, a kiedy tylko żartuje. W mieście, gdzie przetrwanie zależało od poprawnego odczytania następnego ruchu przeciwnika, nieprzewidywalność Iwana wzbudzała paniczny strach.

– Rozumiesz? – Iwan uśmiechnął się szeroko i poklepał najemnika po ramieniu wolną dłonią, rozładowując napięcie. – Byłbyś bohaterem wszystkich drwin stąd aż po Morię. Najemnicy w całym sektorze śmiałyby się do rozpuku na wieść, że zabiła cię larwa.

Hutchins zdobył się na nerwowe parsknięcie. – Ok, dobra. Zrozumiałem.

– Teraz po prostu dowiedzą się, że zabiłem cię ja.

Huk wystrzału zagłuszył myśli Vika. Za jednym pociągnięciem spustu Iwan rozerwał pancerz i pierś Hutchinsa. Martwy najemnik poleciał w tył niczym kukła, lądując na stercie skrzyń.

Iwan wskazał ciało i klasnął językiem. Pies rzucił się naprzód i zaczął obgryzać trupa. – To nie takie trudne, chłopaki – powiedział. – Wy dostarczacie towar, ja go sprzedaję. Nie należy go tykać, dopóki nie sfinalizuję transakcji.

Najemnicy kiwnęli głową, nawet nie zerkając na Hutchinsa. Po co mieliby to robić? Żyli. Przetrwali kolejny dzień. Tylko to się liczyło.

– Znalazłeś kupca, szefie? – Jace ospale drapał się po bliźnie.

Iwan postukał palcami po pojemniku kriogenicznym. – Okazuje się, że przemytnik, na którego wpadliście, wiózł ten towar do pewnego jajogłowego naukowca o nazwisku Branamoor. Musiałem wykorzystać wiele kontaktów, żeby zdobyć tę informację.

– Prywatny nabywca? – zapytał Jace.

– Mało prawdopodobne – odpowiedział Iwan. – Nie pierwszy raz korzysta z usług przemytników, więc musi dysponować sporymi funduszami. Najpewniej to jakiś rząd. Nie zdołałem się dowiedzieć który. Może umojański, ale stawiałbym raczej na Dominium. Jego władze zawsze siedzą po pachy w jakichś szemranych interesach. Tak czy siak, to nie ma znaczenia. – Iwan zgniótł kilka much gromadzących się w pobliżu ciała Hutchinsa. – Najważniejsze jest to, że udało mi się skontaktować z Branamoorem przez pośrednika. Zależy mu, aby cały ten interes nie wyszedł na jaw. Jeżeli to Dominium, ostatnią rzeczą, jaką chciałby zobaczyć, jest reportaż w UNN o udziale władz w przemyśle żywych zergów. Jednocześnie *bardzo* mu zależy, żeby zdobyć te maleństwa... tak bardzo, że wysyła jednego ze swoich asystentów, aby je odebrał. Dotrze tu za cztery dni.

– Ile? – Jace zadał pytanie, które każdemu z najemników cisnęło się na usta. Płacono im udział od zysków, jakie przyniosła sprzedaż skradzionych towarów na czarnym rynku. Cenny ładunek mógł oznaczać małą fortunę.

– Dowiedcie się, gdy wymiana zostanie sfinalizowana, jak zawsze. Teraz wracajcie do pracy – Iwan odwrócił się do Vika i Serja, podczas gry najemnicy zajęli się robieniem wykazu pozostałych zrabowanych dóbr. – Szczury, klienci chcą, aby ten wynalazek terran był sprawny przed przybyciem wysłannika. Chcę, żeby byli zadowoleni.

*Ponieważ naukowiec nie wie, że wydostały się na zewnątrz* – pomyślał Vik. Znał zasady gry – nigdy nie odkrywaj swoich atutów. Prawdopodobnie nabywca wciąż sądził, że towar jest bezpiecznie zamknięty w pojemniku. Dla szczura portowego było to jednak bez różnicy – no chyba że pozostawienie obcych na zewnątrz było niebezpieczne.

– Zamknijcie zergi w jednej z pustych klatek dla psów – nakazał Iwan. – Pilnujcie ich, dopóki nie naprawicie pojemnika. Gdyby coś się stało lub ktokolwiek przy nich majstrował, dajecie mi znać.

– Jasne, szefie – już sama myśl o przebywaniu w klatce z zergiem przyprawiała Vika o dreszcze.

– Kupiec chce je żywe. Zrozumiano?

Serj otrząsnął się z osłupienia i oderwał wzrok od zerga. – Tak jest, szefie.

Vik kiwnął potakująco głową, a jego spojrzenie powędrowało w stronę psa łupkowego. Zwierzę otworzyło pysk, a spomiędzy rzędów żółtych kłów wyłonił się język, którym zaczęło zlizywać kałużę krwi obok Hutchinsa. Kiedy Iwan odwrócił się na pięcie i zagwizdał, ogar porzucił swój posiłek i cicho podbiegł do boku pana.

*Dobry pies.*

\*\*\*\*

Psiarnia znajdowała się na końcu długiego korytarza w tylnej części warsztatu. Można było do niej wejść wyłącznie przez zardzewiałe drzwi, prowadzące do serca rafinerii. Gromadzono tutaj stare towary, na które szef nigdy nie znalazł kupca. Przy ścianach piętrzyły się skrzynie dostawcze wyładowane granatami odłamkowymi i amunicją z czasów Wojen Gildii, częściami zapasowymi, medykamentami oraz produktami przemysłowymi. W jednej części pomieszczenia znajdowały się zagrody, w których składowano rozłożone na części transportowce i myśliwce klasy „Mściciel”. Vik swego czasu pracował przy wszystkich tych statkach. Nadał każdemu z nich imię. Zawsze lubił maszyny. Zazwyczaj działały jak należy – no chyba że na przeszkodzie stawała tandetna konstrukcja lub wpływ z zewnątrz.

Ale formy życia... nigdy nie wiadomo, co zrobią.

Po dotarciu do pustej klatki dla psów wepchnęli do niej pojemnik z zergami. Vik zgodził się zająć naprawą. Miał nadzieję, że skupiając uwagę na pracy nie będzie musiał przejmować się obcymi, dopóki na dobre nie znikną z jego życia. Nie mając nic konkretnego do roboty, Serj kręcił się przy wejściu do klatki. W końcu zatopił wzrok w przenośnej konsoli bezprzewodowej i zaczął wyszukiwać informacje na



temat larw w Hypernecie. W sieci roilo się od opisów tajnych projektów wojskowych oraz poufnych dokumentów rządowych – w większości chłamu z czasów Konfederacji. Jeżeli wiedziało się, gdzie należy szukać, można było znaleźć wszystko. Serj wiedział.

W pobliżu ujadło złowrogo dziesięć ogarów, które kłapały szczękami i rzucały swoje metaliczne ciała o wykonane z łańcuchów ogrodzenie. Musiały wyczuć zergię. Vik westchnął i walnął z całych sił w klatkę, ale psy nie chciały się zamknąć. Słyszał kiedyś, że te zwierzęta – pochodzące z Korhalu IV – były niegdyś łagodnymi, uroczymi stworzeniami. Najlepszymi przyjaciółmi człowieka. Potem Konfederacja zrzuciła na zbuntowaną planetę tysiąc głowic nuklearnych klasy „Apokalipsa”, w mgnieniu oka obracając w pył trzydzieści pięć milionów terran. Psy – o dziwo – przetrwały. Uległy napromieniowaniu i rozproszyły się po nuklearnej pustyni żużlu i szkliwa. Żywiły się wszystkim, co mógł przetrwać ich zmutowany układ pokarmowy. Były prawdziwymi ocalałymi z apokalipsy, zaprawionymi w walce o przetrwanie przez trudy i widmo wymarcia. Właśnie to lubił w nich Iwan.

Vika psy irytowały. Przestał zwracać uwagę na ich ujadanie w momencie, kiedy założył okulary termowizyjne i kucnął obok pojemnika, aby ocenić szkody. Na wizjerze pojawiło się mnóstwo źródeł promieniowania cieplnego o zmiennym natężeniu. Zabarwione na niebiesko chłodne strumienie powietrza wydostawały się na zewnątrz przez osiem dziur po kulach w ścianie konstrukcji. Trafienia spowodowały także powstanie pęknięć naprężeniowych – niewidocznych gołym okiem – wzdłuż zewnętrznej osłony pojemnika.

Obudowa na pierwszy rzut oka nie wyróżniała się niczym szczególnym, ale zbudowano ją z użyciem najnowocześniejszych technologii. Pojemnik korzystał z silnika termosonicznego, wykorzystującego sygnały dźwiękowe o wysokiej amplitudzie do wypompowania ciepła i obniżenia temperatury w celu zamrożenia zergów. Czułe sensory przekazywały dane o stanie larw do trzech małych ekranów umieszczonych w górnej części pojemnika. Zasilanie zapewniała pojedyncza bateria. Krótko mówiąc, delikatny towar. Z oględzin Vika wynikało, że konstrukcja przetrwała strzeleckie zapędy Hutchinsa. Trzeba ją było tylko trochę połatać, nic więcej. Roboty góra na kilka dni.

Vik odpalił palnik plazmowy i wziął się do pracy. Co jakiś czas słyszał nagrania z konsoli Serja.

*„Larwy są ostoją Roju; narzędziem koniecznym do zbudowania armii zergów. Stosownym określeniem dla tych stworzeń jest 'organiczna pamięć podręczna'. Są one zasobnikami kodu DNA dla całej wspólnoty obcych. Właśnie dlatego mogą przekształcać się w praktycznie każdy podgatunek zergów”.*

– Nic dziwnego, że ten jajogłowy chce je zdobyć, co? – Serj trącił butem nogę Vika. – Wszystkie te dane, jakie zawierają... to musi być warte fortunę.

Vik mechanicznie kiwnął głową, aby przyjaciel dał mu spokój. Miał nadzieję, że w końcu znudzi mu się oglądanie filmów. Nie znudziło.

Kilka godzin później Serj zerwał okulary z twarzy Vika i podsunął mu wyświetlacz pod nos. – Musisz to zobaczyć. – Na ekranie pojawiło się połączenie kilku filmów, które ukazywały, jak larwy przekształcają się w pulsujące skupiska tkanek. Po jakimś czasie kokony pękły, a w ich miejsce pojawiły się potwory, jakie Vik widział w telewizji UNN: hydraliski, zerlingi, mutaliski i inne groteskowe stworzenia. Bestie rodem z koszmarów.

*„Nadrzędzy zergów wydają larwom rozkazy za pośrednictwem fal psionicznych, inicjując proces przemiany” – głos komentatora był jednostajny i bezbarwny. „Czas pozostawania w fazie poczwarki jest proporcjonalny do złożoności organizmu, jaki ma powstać”.*

Vik zerknął na larwy i przeszły go ciarki. Stworzenia skierowały ku niemu swoje długie, najeżone ostrzami ciała. Poruszyły żuwaczkami, zarysowując podłogę wąskimi odnóżami. Na skórze Vika pojawiła się gęsia skórka.

– Myślałem, że to tylko przerośnięte ślimaki, wiesz? – powiedział Serj. – A jednak są niebezpieczne.

– Jeszcze się nie przepoczwarzyły i nie sędzę, żeby to miało nastąpić – Vik odwrócił wzrok od obcych.

Serj skierował terminal z filmem w kierunku larw. – Ta, no cóż... Może po prostu muszą to obejrzeć. Pewnie jeszcze nie wiedzą, jak to się robi.

– Przestań – Vik kopnął przyjaciela w nogę. – Chcesz, żeby się przemieniły?

Serj wzruszył ramionami. – Wydają się bezużyteczne. Nie wiem, może w innej postaci są więcej warte.

– Jasne. A potem nas zjedzą.

– Możliwe... – powiedział Serj z nieskrywaną fascynacją. Oparł się o ogrodzenie klatki i zaczął przesuwac palcem po ekranie konsoli – przeglądał filmy o przemianie larw, odtwarzając je wciąż na nowo.

\*\*\*\*

– Wyżerka, chłopaki! – Serj opróżnił zawartość dwóch paczek racji żywnościowych przed zergami. Długie czerwone macki wychynęły spomiędzy żuwaczek larw. Przez kilka sekund obmacywały galaretowatą masę, ale jej nie zjadły.

– Tak marnować dobre jedzenie... – mruknął Vik.

– No dalej, nie jest takie złe – Serj kusił zerga.

*Klik.* Vik wzdrygnął się na ten dźwięk. Jace i dwóch innych najemników stało u wejścia do klatki, robiąc zdjęcia obcym swoimi smartfonami.

– Co za słodki widok. *Naprawdę* słodki – na twarzy Jace'a pojawił się uśmiech.

Vik zignorował ich, jak zawsze. Prędzej czy później znudzi im się i sobie pójdą. Chcieli sobie przypomnieć, że nie stoją najniżej w hierarchii.

Zawiasy z metalu zgrzytnęły – Jace otworzył drzwi do klatki i wszedł do środka. Przyklękął i wyciągnął swoją olbrzymią dłoń w kierunku zerga. – Cała ta paplanina na UNN o tym, jakie to kozaki z tych zergów...

Serj odrzącił rękę Jace'a. Vik odwrócił się powoli, choć w środku aż kipiał ze złości. *Idiota*. Co w niego wstąpiło?

– Rozszarpałyby cię na kawałki, gdyby przybrały swoją prawdziwą formę – powiedział duży szczur portowy. – Przekształcają się w inne zergi.

– Patrzcie, patrzcie, mamy naukowca w oddziale – jeden z najemników wybuchł śmiechem.

Jace się nie uśmiechał. Wstał i stanął nad Serjem. – Śmiałeś mnie uderzyć?

Serj, zamiast dać sobie spokój, tak jak powinien, stanął naprzeciw Jace'a i przyjął równie groźną pozę. – O ile pamiętam, Iwan nie wspominał, że masz tu coś do roboty.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem przez długą chwilę, sprawdzając który z nich ustąpi jako pierwszy.

– Chyba już wam mówiłem, że zergów nie można tykać przed przybyciem wysłannika! – głos Iwana zahuczał w całym pomieszczeniu. Najemnicy cofnęli się z obawy przed wchodzącym do klatki szefem Vika.

– Chciałem tylko zerknąć, szefie – ręka Jace'a mechanicznie powędrowała w kierunku blizny. – Nie każdego dnia zdarza nam się widzieć zerga.

– Dość już się napatrzyliście.

Najemnicy wyszli, nie odważywszy się dyskutować z szefem. Iwan zwrócił się do szczurów portowych – Stan prac?

– Wkrótce skończone – odparł Serj.

– Wkrótce?

– Wkrótce skończone, *szefie* – Vik poprawił przyjaciela.

Iwan uderzył mniejszego szczura portowego w policzek. Vik poczuł przeszywający ból w kącie ust. Jednak jego szef ani na chwilę nie oderwał oczu od Serja. Jego wzrok był bezlitosny. Vik zobaczył, jak przyjaciel napina mięśnie – po chwili jednak się odprężył i spasował.

– Wkrótce, *szefie* – odparł w końcu.

– „Wkrótce” to było wczoraj. Macie dwadzieścia cztery godziny – Iwan wyszedł zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć.

– Wszystko w porządku? – Serj położył dłoń na ramieniu Vika.

– Na pewno nie dzięki tobie – szczur polizał ranę w kąciku ust. – Co to miało być?

– Ech... jestem już zmęczony takim traktowaniem.

– Ja też, dlatego ich nie prowokuję – powiedział Vik. Żaden z nich nigdy nie postawił się najemnikom. Starali się nie tracić panowania nad sobą – taki był warunek przetrwania. Wtopić się w tło. Nie rzucać się w oczy. Wypełniać rozkazy. Takie były *zasady gry*.

– Wiem, ale kiedy widzę te tutaj... – Serj machnął ręką w kierunku larw. – Nie wydają się groźne, ale z całymi tymi zasobami DNA mogą być czymkolwiek. Tak sobie pomyślałem... Zresztą nieważne.

Serj oparł się o ogrodzenie i zatopił wzrok w konsoli, a Vik uspokoił się i wrócił do pracy. Po paru godzinach majsterkowania skończył łątać dziury po pociskach i usunął pęknięcia naprężeniowe, wykorzystując do tego kawałki neostali znalezione w magazynie. Wszystko szło w dobrym kierunku. Ale, jak to zwykle bywa w porcie, to najlepszy moment, żeby ktoś cię napadł i zabrał ci wszystko, co masz.

Vik uruchomił pojemnik kriogeniczny... odpowiedziała mu cisza. Nie szczędząc przekleństw, przyjrzał się konstrukcji raz jeszcze i znalazł małą dziurę w baterii, której wcześniej nie zauważył. Odłamek pocisku z P220 rozerwał jej najważniejszą część. Naprawa była możliwa, ale zajęłaby co najmniej tydzień. Szczur portowy przeszukał cały magazyn i znalazł trzy baterie starszej generacji, które można było wykorzystać do zasilania pojemnika. Nie było to jednak pozbawione ryzyka. Jeden drobny błąd mógłby spowodować wybuch, a Vik mógłby stracić dłonie. Ale nawet to było lepsze niż niedotrzymanie terminu wyznaczonego przez Iwana.

– Vik... – wymamrotał Serj kilka godzin później, w środku nocy. – Jak myślisz, ile ci to jeszcze zajmie?

– Pół dnia – Vik odsunął mikrospawarkę od baterii, żeby wytrzeć pot i brud z czoła. – Skończę na długo przed planowanym przybyciem wysłannika.

– Chyba nie mamy aż tyle czasu – szczur podsunął Vikowi wyświetlacz pod nos. Na ekranie pojawiła się lepka, fioletowa maź, po której larwy poruszały się jak nerraty po padlinie.

*„Aby przetrwać, larwy muszą pozostawać w kontakcie z biomasą – biologiczną substancją podtrzymującą przy życiu ule zergów. Jeżeli znajdą się poza nią, ich długość życia znacznie się skraca – według szacunkowych obliczeń, może ona wynieść od kilkunastu godzin do kilku dni”.*

– Godzin – powtórzył Serj. – To dlatego kupiec chciał, żeby siedziały w tym pojemniku.

Vik zadrzał, a w jego głowie pojawiły się obrazy psa Iwana chłoptającego krew z podłogi i obgryzającego ciało Hutchinsa. Bez słowa pochylił się nad pojemnikiem i przyłożył mikrospawarkę do baterii. Skupił się całkowicie na zleconym mu zadaniu, jakby świat przestał dla niego istnieć. Pracował przez całą noc – pomimo skrajnego wyczerpania. Strach dodawał mu sił. Wykonał najlepszą robotę w swoim życiu. Przed południem następnego dnia skończył prace nad pojemnikiem, nie utraciwszy przy tym dłoni, i uruchomił urządzenie. Wszystkie lampki zapaliły się na zielono. *Wszystko działa.*

– Daliśmy radę, Serj. A właściwie, *ja* dałem radę. – Kolejne zadanie wykonane. Raz jeszcze uniknęli tragedii i przetrwali następny dzień. Vik zacisnął dłonie w pięści i wzniosł je na znak zwycięstwa, odwracając się w stronę larw. Serj przykucnął nad jedną z nich.

– Nie żyje – powiedział bezbarwnym głosem. – Jej małe odnóża właśnie przestały się poruszać.

\*\*\*\*

– Domyśli się – mikrospawarka drżała w ręce Vika. – *Domyśli się.*

Wsadzili larwy z powrotem do pojemnika, kładąc martwego obcego po lewej stronie. Wyświetlacze z oznakami życia na górze komory kriogenicznej były dosyć prymitywne. Palily się na zielono lub czerwono w zależności od tego, czy przewożony okaz był żywy czy martwy. Można je było łatwo zmienić. Wszystko zależało od tego, czy Iwan da się na to nabrać. Szef Vika był niezwykle drobiazgowy, gdy chodziło o interesy.

– Zapomnij o tym – Serj kręcił się wokół klatki. – To nie ma znaczenia.

– Dlaczego mam o tym zapomnieć? – Vik skończył właśnie modyfikować wyświetlacz nad martwą larwą. Lampka zmieniła kolor z czerwonego na zielony. – Mamy dwa wyjścia: albo mu o tym powiemy, albo robimy go w konia. Nie polecam pierwszego rozwiązania.

– Możemy też je wziąć i sami sprzedać – Serj kucnął obok przyjaciela i zwrócił się do niego szeptem. – Pomyśl o tym. Zawsze chcieliśmy opuścić ten kawał skały, nie? To jest nasza szansa. Larwy są warte miliony. Gdyby było inaczej, to dlaczego kupiec chciałby przylecieć do tej dziury, żeby je zabrać? Jeżeli to pracujący dla rządu jajogłowy naukowiec, to nie zadawałby się z ludźmi pokroju Iwana, chyba że byłby naprawdę zdesperowany.

– To własność Iwana.

– On je *ukradł*. Równie dobrze mogą być naszą własnością.

– Co się z tobą dzieje? Jednego dnia wszystko z tobą gra, a kiedy indziej...

Serj roześmiał się smutno i obojętnie. – Kiedy indziej co? Nie zachowuję się już jak pies na posytki? Nie trzęsę się ze strachu, gdy słyszę za sobą nadchodzącego Iwana? Nasz rytuał każdego ranka ma nam przypominać, że nie jesteśmy zwierzętami. Potem przychodzimy tutaj i traktują nas właśnie jak zwierzęta. Jestem tym zmęczony... po prostu... zmęczony...

– Nie rzucamy się w oczy. Zbieramy kredyty i czekamy na dogodny moment. W taki sposób działamy. Sam mnie tego nauczyłeś.

– Harujemy od lat i co z tego mamy? Nic. Gdybyśmy...

– Szczury! – krzyknął Iwan. Dwójka przyjaciół odwróciła się w jego kierunku, gdy zbliżył się do klatki. – Raport!

– Właśnie skończyliśmy, szefie – odpowiedział Vik. Chyba po raz pierwszy w życiu był zadowolony z pojawienia się Iwana. Miał nadzieję, że jego obecność skłoni Serja do myślenia. – Zergi są w środku, szczelnie zamknięte.

Iwan otworzył pojemnik i zerknął na trzy larwy, na których zdążyła już osadzić się nowa warstwa szronu. Żywe lub martwe, wyglądały identycznie. Wyświetlacze na pokrywie pojemnika świeciły się na zielono.

Vik wstrzymał oddech, dopóki Iwan nie kiwnął potakująco głową. – Dobra robota. Jesteście wolni.

Szczur portowy poczekał, aż szef znajdzie poza zasięgiem jego głosu. – Idziemy stąd. Mam już dość twoich szalonych pomysłów.

– Nie – Serj nie ruszył się ani o krok. – Szalone jest raczej nasze obecne życie. Moglibyśmy robić cokolwiek... być kim tylko byśmy chcieli... a godzimy się na takie traktowanie. To trwa już za długo. Więc jak, chcesz mi pomóc czy nie?

– Człowieku, to... to zbyt niebezpieczne. To...

Serj sięgnął w kierunku Vika i wyciągnął na wierzch odznakę pilota. Szarpnął mocno i zerwał mu ją z szyi. – Dlaczego ją nosisz, jeżeli nie masz nic przeciwko byciu psem Iwana do końca życia? Będziesz harował bez końca, a potem umrzesz i nikomu nie zrobi to różnicy. Urodziłeś się jako szczur portowy i umrzesz jako szczur portowy.

Dosyć. Miał tego wszystkiego dość. Emocje wzięły górę i Vik rzucił się na Serja. Przyjaciel złapał go za szyję i rzucił o ogrodzenie.

– Wynoś się. Uciekaj do domu – Serj schował skrzydełka pilota do kieszeni. – Poczekaj tam na wezwanie Iwana, jak dobry piesek.

Vik ruszył w kierunku domu, a z każdym krokiem narastała w nim złość. Co się stało z Serjem? Jeżeli chciał się zabić, proszę bardzo. W jaki sposób w ogóle miałby wynieść zerga z magazynu? Gdzie znajdzie na nie kupca?

Zanim jeszcze Vik dotrał do swojego ścigacza międzyplanetarnego, zaczęły go piec oczy. Wszedł do środka, gdzie nikt go nie widział, po czym wybuchnął płaczem. Łzy jeszcze bardziej go rozżościły. Wziął stalowy klucz i podszedł do starego panelu sterowania, przy którym spędzili wiele godzin razem z Serjem, udając pilotów, snując marzenia o lotach nad egzotycznymi, pokrytymi dżunglą planetami oraz rozmawiając o planach opuszczenia portu.

Gdy już doszczętnie zniszczył konsolę, roztrzaskał osłonę kabiny pilota i zwinął się w zaniedbanym fotelu. Zacisnął pięści na starej piance – aż jego kostki stały się białe z wysiłku – i ukrył twarz w wilgotnym materiale. Najgorsza była świadomość, że Serj miał rację. Vik pobiegł do domu jak zbity kundel, który ucieka na widok pierwszych oznak zagrożenia, aby ratować swoją skórę. *Urodziłeś się jako szczur portowy i umrzesz jako szczur portowy.*

\*\*\*\*

*Nie idź. Olej to. Przeczekaj.*

Była noc. Przekażnik Iwana dźwięczał w nadgarstku Vika.

*Nie idź.*

Poszedł.

Wszedł do magazynu Iwana. Spodziewał się, że zobaczy zmasakrowane ciało Serja zawieszona na łańcuchach, ale wszystko wyglądało normalnie. Kilku najemników było zajętych przekładaniem skrzyń w głównej części pomieszczenia. Jace oglądał wiadomości UNN. Reszta ludzi Iwana siedziała przy stole – grali w karty, zaciągając się cygarami i wlewając w siebie kolejne kieliszki Scotty'ego Bolgera nr 8.

Gdy Vik przechodził przez warsztat, odwrócili się i spojrzeli na niego. Zazwyczaj tego nie robili.

Zjawił się Iwan i bez słowa zaprowadził go do pomieszczenia na tyłach. Ciężko było w nim cokolwiek zobaczyć, ponieważ rozświetlało go zaledwie kilka lamp zawieszonych pod sufitem. Vik mógł jednak rozróżnić kontury pojemnika z larwami, który leżał tam, gdzie wcześniej.

Może Serj porzucił swój głupi plan. Być może zmądrzał i wrócił do tylnych uliczek Portu Umarlaka, żeby przespać się ze swoim samobójczym pomysłem, który nie dawał mu spokoju. Albo rozbił się i spłonął.

– Te zergi są warte kupę kasy, wiesz? – powiedział Iwan.

Vik starannie dobierał słowa, obawiając się kolejnej pułapki watażki. – Domyślam się, szefie.

Iwan sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej garść kredytów. Pobrzękiwały i dzwoniły, gdy ważył je w dłoni.  
– Chłopaکی dostaną dużą działkę. Ty też powinieneś trochę dostać.

Vik oniemiał. Utkwił wzrok w monetach, nie kryjąc swojej zachłanności, i poczuł ulgę. *Serj, ty idioto. Nie rzucamy się w oczy. Zbieramy kredyty i czekamy na dogodny moment. W taki sposób działamy.*

– Zawsze wynagradzam lojalnych mi ludzi – powiedział Iwan, kładąc rękę na ramieniu Vika i odwracając go w kierunku głównej klatki.

– Widzisz je? – Szef najemników wskazał brodą psy. Zwierzęta przestały szczekać – jak zawsze, gdy Iwan był blisko. Szczur portowy zmrużył oczy, wpatrując się w poruszające się w klatce cienie.

– Ludzie zawsze mnie pytają, dlaczego otaczam się psami. Myślą, że jestem jakimś miłośnikiem zwierząt. Nie o to chodzi. Widzisz, psy są lojalne. Nic więcej. To jest to, co odróżnia nas od zwierząt takich jak zergi.

Vik słyszał, jak psy kręciły się w klatce, a ich zęby gryzły coś lepkiego i wilgotnego.

– Jeżeli czegoś nie cierpię, to z pewnością nieposłuszeństwa. Wiesz o tym.

Iwan otworzył drzwi klatki i popchnął Vika do środka. Szczur portowy postawił niepewnie kilka kroków, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Ogary lśniły... Nie... błyszcząły od wilgoci. Tak jak wszystko wokół.

– Zeszłej nocy drugi szczur chciał ukraść zergi. Mój towar. Nie zaszedł daleko. Twierdził, że pracował sam i że nie wiedziałeś, co takiego planował.

Krew. Pokrywała całą posadzkę i były nią oblepione psy. Jeden z nich obgryzał olbrzymią kość... ludzką kość. Vik cofnął się, nie do końca wierząc w to, co widzi, ale Iwan złapał go za kark i rzucił na ziemię. Jego kolana uderzyły o posadzkę, a ręce poślizgnęły się do przodu – pomiędzy palcami czuł bryzgającą krew.

Gdy spojrzął do góry, zobaczył, że wprost przed nim, na stercie porozrywanych tkanin i chrząstek, leżały porysowane zębami psów skrzydełka pilota.

– Nie wiedziałeś, tak? – ciągnął Iwan.

– Jestem lojalny, szefie. Jestem lojalny! – krzyczał Vik.

– Możliwe. Ale nie mogę cię nagrodzić, jeżeli nie znam wszystkich faktów, czyż nie? – Iwan schował kredyty z powrotem do kieszeni. Kucnął – jego oddech był gorący i śmierdział tytoniem zmieszany z whisky – i zaczął szeptać Vikowi do ucha. – Następnym razem, gdy zauważysz, że ktoś coś knuje przeciwko mnie, *powiesz mi o tym*.

Iwan popchnął Vika na odchodne – szczur portowy wylądował twarzą we krwi.

– Posprzątaj w środku zanim pójdziesz. Wezwę cię, gdy przyjdzie następny towar – zatrzasnął drzwi klatki tuż za Vikiem. Metaliczny odgłos jego butów powoli ucichł w oddali.

Szczur portowy zacisnął dłonie na odznace i zamknął oczy, starając się odciąć od wszystkiego, co widział wokół siebie, ale krew czekała na niego w ciemnościach. Wysokie, szkarłatne fale rozbijały się o mury jego umysłu, a obrazy wryły się w jego pamięć i zostały ożywione przez strach. Zaczął szukać po omacku wyjścia z klatki, a jego ręce i nogi ślizgały się na lepkiej, skąpanej w czerwieni podłodze. Poczuł na języku ciepłe, metaliczne powietrze. Zwymiotował i zaczął się trząść. Uderzał głową w ogrodzenie, dopóki nie natrafił rękoma na drzwi – rzucił się szaleńczo do przodu, aby wydostać się z klatki. Przyłgnął do podłogi, ciężko dysząc z wyczerpania. Przerażenie jednak zniknęło. Każde inne uczucie zresztą też, tak jakby został odseparowany od zewnętrznego świata po tym jak podjął słabą próbę odrzucenia od siebie coraz silniejszych, traumatycznych emocji. Vik wpatrywał się w sufit, a jego ciało ogarnął paraliż.

Powoli, gdzieś poza zasięgiem świadomości, wewnątrz szczura portowego rozdarła pustka. Vik – marzyciel, przyjaciel, terranin – zaczął tonąć w kałuży krwi, która zalała jego umysł. Jedyne, co przetrwało, to zwierzę, jakie starał się w sobie zdusić przez te wszystkie lata – istota zamieszkująca jego umysł, kierowana przez mroczne, pierwotne instynkty, których świadomość nigdy nie zdołała sobie podporządkować. Rytuał poszedł w zapomnienie. Pasywna chęć przetrwania straciła swój czar. Szczur portowy zapragnął czegoś więcej.

Jego ręka promieniowała bólem. Otworzył dłoń i zobaczył pogryzione przez psy skrzydełka pilota – z miejsc, gdzie przebiły mu skórę, płynęły strużki krwi. Obserwował, jak czerwony strumień torował sobie drogę przez fałdy dłoni – w szkarłatnej cieczy, na podwójnej helisie, zakodowana była informacja genetyczna całego gatunku.



Ta sama krew płynęła w żyłach Iwana i każdego innego twardziela, o jakim słyszał. Oni po prostu nauczyli się wykorzystywać zawarte w niej informacje w inny sposób. W przypadku larw sytuacja była podobna, pomyślał Vik, spoglądając za siebie w kierunku pojemnika kriogenicznego. Ich możliwość przemiany była jednak o wiele większa. Cała ta moc ukryta pod ich grubymi pancerzami... cały ten potencjał. Właśnie to musiało złamać Serja – myśl o przemianie tak radykalnej, że odwróciła do góry nogami jego sposób patrzenia na świat. Fakt, że urodził się jako szczur portowy, nie musiał wcale przesądzać, że jako szczur umrze.

Ale larwy nie oferowały szansy na zmianę. Nie miały tego, czym dysponował Vik, a co dał mu Iwan.

Zaczął ssać ranę, delektując się słodczą krwi. Z głównego pomieszczenia magazynu dochodziły go odgłosy śmiejących się najemników i – zapowiadający zbliżającą się wypłatę – dźwięk uderzających o siebie żetonów do pokera. Vik spojrzał na zgromadzone w pomieszczeniu stosy części zamiennych, rdzewiejących silników i skrzyń tak, jakby był tutaj po raz pierwszy – spoglądając na nie oczami stworzenia zrodzonego w czeluściach powyginanego metalu. Kiedyś uważał to miejsce za swoje więzienie. Teraz uważał je za własne podwórko, wypełnione przydatnymi do pracy narzędziami. Należącą do niego dżunglę z neostali.

\*\*\*\*

O 9:00 Iwan i jego ludzie weszli na tyły warsztatu. Vik obserwował ich z przęsła dachu.

– Dzień wypłaty! – ryknął Jace.

– Kupiec będzie tu za pół godziny, chłopaki – powiedział Iwan, zbliżając się z najemnikami do klatek dla psów. – Bierzymy pojemnik i wychodzimy całym oddziałem. Dobijamy transakcji, wracamy do warsztatu i dzielimy zyski. Standardowa procedura. Zrobmy to jak należy, a wtedy...

– Szefie! – Jace zatrzymał się na krok od wejścia do klatki dla psów. Pokrywa znajdującego się w środku pojemnika była otwarta. Tuż obok w ogrodzeniu widniała olbrzymia dziura, tak jakby coś je rozerwało.

– Zergi otworzyły pojemnik! – krzyknął jeden z najemników.

– One nie potrafią otwierać pojemników – warknął Iwan. – Jace?

– Stałem na warcie, tak jak mi kazałeś, szefie – odpowiedział wielki najemnik. – Nikt nie mógł stąd wyjść z zergiem.

Vik widział, jak Jace regularnie kręcił się po pomieszczeniu. Szczur portowy pracował przez całą noc, wtapiając się w ciemność za każdym razem, gdy najemnik był w pobliżu.

Iwan rozejrzał się wokół. – Muszą więc tu być. Sprawdźcie każdą z tych skrzyń!

Najemnicy rozbiegli się po ciasnym pomieszczeniu, nie do końca pewni, od czego zacząć. Psy łupkowe ujadają głośniejsz niż zwykle. Ich szczęki ociekały śliną. Wyczuwały strach.

– Tu jest jeden, szefie! – Jace wyciągnął swoją grubą dłoń w kierunku stosu skrzyń, skąd wystawał najeżony kolcami pancierz larwy – dokładnie tam, gdzie położył ją Vik. Wielki najemnik wspiął się na skrzynię i chwycił obcego. Stworzenie było zwinięte w kulę i oblepione klejem przemysłowym. Szczur portowy był zadowolony, że udało mu się znaleźć zastosowanie dla martwej larwy.

– Musiała tu wpełznąć – Jace obrócił obcego w rękach. – Jest zwinięta w kulkę.

– No to ją rozwiń i wsadź do pojemnika! – rozkazał Iwan. – I znajdź pozostałe.

– No dalej, mały draniu – Jace chwycił oba końce larwy swoimi olbrzymimi rękoma. – To ci nie pomoże tam, dokąd lecisz.

Vik założył okulary termowizyjne, ustawiając je tak, aby tłumiły promieniowanie ciepłe i źródła światła.  
*Przedstawienie czas zacząć.*

Jace szarpnął larwą, rozwijając ją i wyciągając zawlecзки z wiązanki granatów odłamkowych, które Vik przykleił do truchła. Wybuch posłał nogi najemnika w przeciwnych kierunkach, a resztę jego ciała zmienił w fontannę biomechanicznych części.

Vik sięgnął do prowizorycznego panelu kontrolnego, podłączonego do sieci elektrycznej starej rafinerii, i przełączył kilka przycisków. Pierwszy doprowadził do przeciążenia źródła zasilania magazynu, co wyłączyło reflektory i spowodowało uruchomienie zapasowych generatorów prądu – pomieszczenie rozświetliły czerwone, migające światła bezpieczeństwa.

Drugi przycisk spowodował bezprzewodową detonację dwunastu granatów, rozmieszczonych w skrzyniach zgromadzonych pod najdalej położoną ścianą. Ogniste kule pojawiły się w całym pomieszczeniu. Ściany się zatrzęsły, a powietrze przesyłały lecące we wszystkich kierunkach stopione odłamki, śmiertelnie raniąc co trzeciego z sługusów Iwana.

– ZERGI! – ktoś krzyknął.

Najemnicy rozproszyli się po pomieszczeniu i zanurkowali za skrzynię w poszukiwaniu osłony. *Bang! Bang! Bang!* Cały oddział strzelał szaleńczo i na oślep w kierunku poruszających się cieni, korzystając z całego wachlarza broni – pistoletów, strzelb i karabinów.

Vik przełączył ostatni przycisk. Wokół klatek z psami zapaliły się ładunki termitowe. Ogrodzenia stopiły się, tworząc stosy lepkiej mazi. Prerażone zwierzęta wyskoczyły z zagród, rzucając się na każdego, kto stanął im na drodze ucieczki. Zapanował totalny chaos.

Szczur portowy zjechał po drabinie i zakradł się do pustej zagrody dla pojazdów, gdzie czekał na niego podnośnik unoszący się na poduszce magnetycznej, na którym umieścił dwie pozostałe larwy. Popychając go przed sobą, przemknął przez miejsce rzezi, wykorzystując fakt, że okulary termowizyjne zapewniały mu nadprzyrodzoną wręcz zdolność widzenia.

Popędził wzdłuż jednej ze ścian pomieszczenia, umieszczając podnośnik między sobą i oszalałą grupą najemników oraz psów. W kierunku larw poleciał grad kul, które jednak odbiły się rykoszetem od ich panczerzy i poleciały w kierunku walczących.

Vik odrzucił okulary termowizyjne, chwycił podnośnik i skierował się w kierunku centrum Portu Umarlaka. Obrął najkrótszą drogę do portu gwiezdneho. Myśląc nad swoją ucieczką zdał sobie sprawę, że Iwan zniknął w zamieszaniu. Przeklął sam siebie za to, że nie zauważył tego wcześniej. Nieobecność szefa nie wróżyła nic dobrego.

Za jego plecami zawarczał silnik transportowca. Słysząc było piach wylatujący spod kół pojazdu. Vik zerknął za siebie i zobaczył Iwana, pędzącego ku niemu za sterami czterokołowej, metalowej bestii. Szczur portowy czmychnął w dobrze mu znane boczne uliczki. Kilka zakrętów wystarczyło, aby transportowiec znalazł się poza zasięgiem wzroku, ale Vik wciąż słyszał warkot jego silnika, odbijający się echem od ścian uliczek. W żaden sposób nie mógł określić kierunku, z jakiego dochodził.

Szczury portowe, zaciekawione zamieszaniem, wystawiły głowy ze swoich prowizorycznych domostw, zbudowanych z kawałków porzuconych statków. Vik nawet nie zwrócił na nich uwagi. Zaciśnął zęby i popchnął podnośnik przed siebie, w jedną z uliczek. Kiedy tak pędził, z jednej z bocznych alejek wyłonił się transportowiec Iwana.

Wszystko działo się tak szybko, że Vik mógł tylko cofnąć się o kilka kroków, zanim pojazd uderzył w podnośnik. Zderzenie rozszarpało na strzępy jedną z larw – druga wraz z Vikiem poszybowała w powietrze. Szczur portowy upadł na ziemię. Był potłuczony i poobijany, ale żył.

Zgiełk przyciągał coraz więcej szczurów portowych. Ludzie przemieszczali się szybkimi skokami przez gąszcz przypominających pajęczą sieć uliczek. Wypełzali z kadłubów porzuconych statków i wspinali się na górujące nad okolicą sterty wyszczerbionej neostali. Dziesiątki zwierzęcych oczu, osadzonych w umorusanych brudem twarzach, przyglądało się bacznie wydarzeniom na ulicy. Nie przybyli, aby wziąć udział w walce. Przyszli popatrzeć. Walka oznaczała śmierć, a śmierć to więcej łupów.

Iwan wysiadł z transportowca trzymając w ręku pistolet igłowy. Podniósł kawałek martwej larwy, popatrzył na niego przez kilka sekund, a potem – wrzeszcząc – rzucił przez ulicę. To była najsilniejsza reakcja emocjonalna, jaką Vik kiedykolwiek widział u swojego szefa. Szczur portowy poczuł złośliwą satysfakcję widząc, że udało mu się ujawnić prawdziwą twarz kryminalisty.

– Która część naszej ostatniej rozmowy do ciebie nie dotarła? – powiedział Iwan. – Jesteś ścierwem aż do szpiku kości. Zwierzęciem, jak cała reszta tych pijawek! – wrzeszczał, wymachując bronią w kierunku obserwujących ich ciekawskich.

Niecały metr od Vika pozostająca przy życiu larwa zaczęła skrobać odnóżami po piaszczystej drodze. Szczur portowy przyciągnął do siebie obcego, wykorzystując go jako tarczę, po czym z trudem stanął na nogach.

Iwan szedł ku niemu długimi krokami z pistoletem igłowym wycelowanym prosto w Vika, ale opuścił go, gdy był blisko. – Nie. Roztrzaskam ci głowę w taki sam sposób, jak zrobiłem to tamtemu drugiemu szczurowi. Wiesz, że płakał? Skomlał jak pies. Nawet nie miał na tyle honoru, żeby umrzeć jak mężczyzna.

Jego zduszony śmiech zmienił się w ochrypy kaszel, a po chwili z ust Iwana wypłynęła stróżka krwi. Na ten widok serce Vika zaczęło bić szybciej. Przyjrzał się przeciwnikowi i zauważył ledwo widoczną plamę

czerwieni na jego brzuchu, częściowo schowaną pod czarnym płaszczem. *W magazynie musiała go trafić zabłąkana kula...*

Nadnercza zalały jego układ krwionośny świeżą falą adrenaliny. Widział wszystko wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej i skupił wzrok na zranionym zwierzęciu, które wdarło się na jego terytorium. Poczł zew krwi i wydawało mu się, że jest niezwykły. Już nie był szczurem portowym. Był najczystszy wyrazem żądzy przetrwania, nosicielem kodu genetycznego udoskonalonego w procesie naturalnej selekcji od początków istnienia terran.

– Niech to będzie dla was przestrogą – Iwan zwrócił się do zgromadzonych szczurów, chwytając Vika za kombinezon. – Mój towar, mój...

Vik zatopił zęby w rękę Iwana, wrywając z niej kawałek mięsa, a następnie skoczył do przodu, zamachując się larwą z góry na dół. Szef najemników zdążył wprawdzie oddać jeden niecelny strzał, ale w tym samym momencie najeżony kolcami pancerz zerga rozpruł jego płaszcz i ciało, tnąc aż do kości.

Po chwili Vik przyszpilił przeciwnika do ziemi i zaczął walić w niego larwą. Przy każdym uderzeniu pancerz stworzenia wydawał przenikliwy trzask, łamiąc kolejne kości Iwana. Krew wrzała Vikowi w żyłach, podsycając żądzę mordu, której poddał się całkowicie, aż ciało kryminalisty było już tylko krwawym ochłapem na środku ulicy. W końcu zwycięski szczur portowy powstał, trzymając larwę nad głową. Krew pokrywająca jego ciało przypominała nową skórę i była symbolem wyższości Vika – od zawsze bardziej zrozumiałym dla jego pobratymców niż groźby, tytuły, czy kredyty.

Większość obserwujących trzymała się na dystans. Niektórzy nawet padli na ziemię w jakimś zwierzęcym odpowiedniku ukłonu. Ale jeden z nich wyskoczył do przodu, wyciągając ręce po leżącą na ziemi broń Iwana. Kierowało nim pragnienie pokonania nowego czempiona i zajęcia jego miejsca.

Vik, wydając z siebie nieludzki okrzyk, kopnął pretendenta prosto w mostek. Szczur portowy wrzasnął z bólu i potoczył się po piasku. Pokonany, zaczął pełznąć poza miejsce walki, wpatrując się w ziemię. Vik zdał sobie sprawę, że wszyscy zebrani wbili wzrok w ziemię. Żaden ze szczurów portowych nie miał odwagi spotkać jego spojrzenia. Bali się. Miał nad nimi władzę.

– Warsztat Iwana stoi otworem! Kto pierwszy, ten lepszy! – wykrzyknął.

Szczury portowe wzniosły okrzyki radości, podnosząc do góry brudne pięści, po czym rozbiegły się, kierując w stronę starej rafinerii. Vik przyłączyłby się do nich, gdyby nie trzymał w rękach klucza do własnego bogactwa. Odnóża larwy poruszały się dziko w powietrzu. Zastanawiał się, czy obcy zrozumiał, że zwyciężył; czy pojął, jak wiele zdziałał pod kontrolą Vika.

\*\*\*\*

Vik gwałtownie zatrzymał transportowiec Iwana na skraju pokrytej pyłem strefy lądowania, pełniąc rolę miejskiego portu gwiazdowego. Wyskoczył z pojazdu, ubrany w brudną koszulę i spodnie. Wcześniej zdjął swój kombinezon i owinał w niego larwę, aby nie przyciągać uwagi bywalców portu. Ubranie całkowicie zakrywało obcego, przez co Vik wyglądał jak typowy szczur portowy taszcący bezużyteczny złom.

Prawie minął statek kupca. Naukowiec był sprytny. Wysłał po towar poobijany i niczym niewyróżniający się ścigacz. Zdradzał go czekający w środku gruby mężczyzna, ogolony i ubrany w prosty, czarny kombinezon. Przedstawiciel Branamoor – Vik przypomniał sobie słowa Iwana. Mężczyzna prawdopodobnie nie mógłby opędzić się od natrętów, gdyby obok nie stało kilku strażników, którzy wyglądali na najemników.

Idąc w kierunku statku Vik poczuł, jak ogarnia go zmęczenie. Każde stłuczenie i zadrapanie, jakich nabawił się w ciągu ostatniej doby, przypominało o sobie, przyprowadzając go o ból. Larwa nagle zaczęła ważyć tysiąc kilogramów, a jego ręce dygotały z wysiłku. Gdy zmieniał uchwyt na zawiniętym w kombinezon zergu, z fałd materiału wysunęły się skrzydełka pilota. Szczur portowy patrzył na nie przez chwilę, w pierwszej chwili ich nie rozpoznając.

Jednak coś w nim przypominało sobie, czym były. Prymitywna mgła, jaka spowijała jego umysł, opadła. Poruszyły się w nim, ukryte głęboko w podświadomości, okruchy dawnej osobowości. Udało mu się je zachować – te słabe i niepotrzebne elementy, które jedynie utrudniały walkę o przetrwanie.

*Nie jesteśmy tacy jak oni – tylko to się liczy. Nie jesteśmy zwierzętami – usłyszał w głowie głos Serja.*

– Zamknij się... – warknął Vik. Nadepnął na odznakę, aby uciszyć niechcianego mówcę. Jego druga połowa wydostała się na powierzchnię jego myśli, zalewając jego myśli powodzią wspomnień, odpowiedzialności – i winy.

*Kiedy w końcu opuścimy tę skałę, będziemy tacy jak inni. Będziemy prawdziwymi terranami.*

Vik potknął się. Obrazy przeszłości uderzyły go niczym pociąg kolei magnetycznej. Zobaczył rozpadające się ciało Jace'a, psy łupkowe rozrywające gardła przerażonych najemników i rozsmarowane na ulicy zwłoki Iwana. Tak naprawdę nie widział nic z tych rzeczy, gdy miały one miejsce. To nie był on. Zrobił to ktoś inny... coś innego.

– Vik... – powiedział szczur portowy, padając na kolana. – Jestem Vik.

Przedstawiciel kupca wpatrywał się w niego z odrazą, nie zdając sobie sprawy ze skarbu zawiniętego w jego poplamiony krwią kombinezon. Jego chłodne i wyrachowane oczy przypominały Vikowi spojrzenie Iwana. Szczur portowy objął z troską larwę, wyobrażając sobie pozbawione uczuć postacie w białych fartuchach laboratoryjnych, które trącają i dotykają obcego dziwnymi narzędziami. Od wolności dzieliło go zaledwie kilka metrów – wystarczyło tylko poświęcić kolejne życie, na dodatek należące do bezmyślnego obcego. Jeszcze jedna ofiara, a osiągnie cel naznaczonej krwią drogi...

– Obydwa zapomnieliśmy... – Vik podniósł z ziemi odznakę pilota i odwrócił się od przedstawiciela Branamoor. – Obydwa zawaliliśmy sprawę. Powinienem być zostać... przemówić ci do rozsądku. Mogliśmy znaleźć inne rozwiązanie.

Padł na ziemię na skraju portu gwiazdowego, skrajnie wyczerpany. Siedział tam przez wiele godzin, obserwując przybywające i odlatujące statki. W końcu odleciał także przedstawiciel naukowca – bez cennego ładunku na pokładzie.

Larwa zdechła tej samej nocy. Jej małe odnóża przestały się poruszać, a ciało zeszywniało. Vik wykopał dół w ziemi i złożył w nim obcego. Stał nad grobem myśląc o filmach UNN o zergach. Każdy inny terranin nazwałby larwę potworem, ale nie ten szczur portowy. Małe stworzenie nie uległo przeobrażeniu. Zergi zmieniają swój wygląd, gdy stają się maszynami do zabijania, ale ludzie pokroju Vika pozostają tacy sami. Ukrywają swój zwierzęcy charakter pod maskami starannie wypielęgnowanej normalności. Może to czyniło jego gatunek bardziej niebezpiecznym niż miliony łaknących krwi obcych, najeżdżających w nieładzie bezbronne kolonie. Przynajmniej w przypadku zergów zawsze było wiadomo, co się szykuje.

Kiedy Vik zaczął zasypywać grób, poczuł ścisk w gardle. W przypiływie przerażenia i poczucia obojętności zdał sobie sprawę, że nic nie poczuł na wieść o śmierci Serja. Drzemiące w nim uczucia obudziły się jednak, gdy spoglądał na przysypaną ziemią larwę. Po raz pierwszy w życiu poczuł prawdziwy smutek na widok martwej istoty... po raz pierwszy zrozumiał, jak czuje się prawdziwy człowiek.

Następnego ranka Vik opchnął transportowiec Iwana grupie przemytników w zamian za miejsce w ładowni ich małego statku. Nawet nie zapytał, dokąd lecieli. Nie wziął nic, prócz ubrań, które miał na sobie, oraz należącej do Serja skrzydlatej odznaki. Na pochylnię statku wkroczył jedynie Vik. Marzyciel. Przyjaciel. Terranin.